

Józef Augustynowicz

Wspomnienia z lat dzieciennych

Rocznik Kolbuszowski 3, 35-42

1994

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wspomnienia z lat dziecińczych

Urodziłem się w maju 1906r. w Kolbuszowej Dolnej, tuż przed granicą miasta Kolbuszowa, jako młodsze dziecko Franciszka Augustynowicza i Klementyny z Wojnickich. Przed moim urodzeniem rodzice moi mieszkali w Kolbuszowej - mieście, w dzielnicy Kały, w domu moich dziadków ze strony matki. Tam przyszło na świat moje starsze rodzeństwo: siostry - Helena, Maria i Eugenia i brat Henryk. Dziadkowie moi byli rzemieślnikami, a ojciec mój, Franciszek Feliks, urodzony w 1872r., został jakimś urzędnikiem w kolbuszowskim Wydziale Powiatowym. Dorobiwszy się trochę, kupił parcelę na skraju Kolbuszowej Dolnej, po stronie tarnobrzesckiej i wybudował na niej domek. W domku tym przyszliśmy na świat ja i moje młodsze rodzeństwo, siostra Katarzyna i brat Jan.

Kolbuszowa w czasach mojego urodzenia się, dzieciństwa i młodości była bardzo małym i biednym miastem, miasteczkiem, liczącym niecałe cztery tysiące mieszkańców, w połowie katolików, w połowie Żydów. Miała dwie ulice - drogi, ulicę "Pańską" (dzisiaj Obrońców Pokoju) i Sędziszowską oraz sześć innych, małych uliczek. Leżała w Małopolsce, zagarniętej przez okrutną cesarzkę austriacką, Marię Teresę w 1772r., w I rozbiórce Polski i nazywanej Królestwem Galicji. W 1867r. Galicja dostała od powstałych Austro-Węgrów, od ich cesarza, autonomię, czyli pewien rodzaj państwowości. Otrzymała własny sejm we Lwowie, własny rząd, posiadający tak jak i Sejm, wyznaczony zakres działania, maskujący fakt niewoli narodowej, miała namiestnika cesarskiego, nazywanego marszałkiem, polski język urzędowy i Krajową Radę Szkolną, troszczącą się o rozwój polskiego szkolnictwa i kultury. Pracownikami urzędów i żandarmerii bywali Polacy, Austriacy, Czesi i Węgrzy, a więc przedstawiciele wszystkich narodów, zjednoczonych trochę *przez* rzekomo szczęśliwe małżeństwa, trochę *przez* podboje, w monarchię austriacką, uznawaną za arcychrześcijańską, rządzoną przez władców z rodu Habsburgów. Galicja dzieliła się na powiaty i około lat 1860-1867 powstał powiat kolbuszowski, skupiający przy regionie kolbuszowskim regiony wsi Niwiska oraz miasteczek: Majdan, Raniżów i Sokółów. Kolbuszowa, jako stolica powiatu zyskała nieco lepsze warunki rozwoju, ale i tak była mała i biedna, prawie że nędzna. Stała się siedzibą Starostwa, Rady Powiatowej, Wydziału Powiatowego, kilku innych urzędów, dwóch, a potem trzech szkół, szkół ludowych: męskiej i żeńskiej i Gimnazjum. Miała Urząd Pocztowy, a listy i gazety przywozili do niej, dwa razy dziennie, do południa i po południu, konnymi wozami, dwaj czy trzej zaufani mężczyźni, Żydzi, odwożący czy przywożący ludzi i towary do, albo od stacji kolejowej w Sędziszowie i Rzeszowie. Większość katolickich mieszkańców miasta utrzymywała się z uprawy małych

gospodarstw rolnych i wyrabiania rzemiosła, głównie szewstwa i stolarstwa. Było wtedy dużo biedoty polskiej i żydowskiej. Żydzi zajmowali się handlem, mieli sklepy i sklepiki dokoła rynku i w innych ulicach, przeważnie na ich rogach, w dobrych punktach handlowych. Katolicy i Żydzi żyli obok siebie, nie zawsze darząc się sympatią, współdziałając tylko w interesach, Polacy mieli przysłowie: "Jak trwoga, to do Boga, jak bieda to do Żyda". W biedzie Żyd prędzej pomógł katolikowi, niż drugi katolik. Kolbuszowianom - katolikom niechętni byli katolicy sokołowianie, niezadowoleni z tego, że Kolbuszowa, nie Sokołów była siedzibą powiatu. W urzędach dochodziło nieraz do scysji pomiędzy sokołowianami i kolbuszowianami. Sokołowianie nazywali kolbuszowian "borówczarzami", a kolbuszowianie sokołowian "tatarskimi chacharami". A w ogóle, w tamtych czasach ludzie chętnie się kłócili, najwięcej zaś kłócili się Żydzi w czasie wtorkowych jarmarków na rynku, teraz nazwanym Placem Wolności. Kłócili się o miejsce, o odbieranie sobie klientów, o byle co. Wtorkowe targi, nazywane jarmarkami, były cotygodniowym urozmaiceniem kolbuszowskiego życia. Ale codziennym urozmaiceniem tego życia byli huzarzy, ułani austriaccy, stacjonujący w Kolbuszowej od chwili utworzenia powiatu. Jeden oddział znajdował się u nas, drugi, mniejszy w niedalekiej wsi Trzęsówka, trzeci zaś w Głogowie pod Rzeszowem. Należały one do 11 pułku ułanów, noszącego imię jakiegoś austriackiego księcia. Husarzy byli pięknym wojskiem, ubranym w granatowe kurtki, czerwone czapki i spodnie, a w zimie w kożuski. Wszystko to było ozdobione czarnymi sznurami, szamerunkami. Przeważnie byli ciemnowłosymi Węgrami, pełnymi temperamentu i dobrego humoru. Mieli wspaniałe konie i ożywiali całe miasto i okolicę. Mieli małą "Rajtszulę", czyli plac ćwiczeń, w okolicy dzisiejszego Stadionu i dużą "Rajtszulę" na górcie poza nim. Mówiło się, że są u nas, żeby strzec granicy państwowej, przebiegającej w odległości 60 kilometrów czy więcej, poza Wisłą i Sanem. A w ogóle to reprezentowali oni cesarza, Franciszka Józefa I, o którym uczyło się w szkole i śpiewało pieśni, a za którego żyło się ludziom przeważnie niezbyt bogato, ale spokojnie. Spokojnie do czasu wojny. Urzędnikom państwowym było wtedy lepiej niż innym ludziom. Obowiązywało ich za to życie, jak mówiono, w ukłonach i uśmiechach. W kulturze, grzeczności i serdeczności dla ludzi. Niektórzy z nich, ich żony czy córki, jeździli za interesami do pięknego i eleganckiego Wiednia, stolicy monarchii, albo do Złotej Pragi, przyglądając się wielkiemu światu. Potem starali się naśladować jego obyczaje. Podobnie było z mieszczanami. Bogaci kolbuszowscy mieszczenie, Marcin Ogonek, Walenty Winiarski i inni, a z Żydów Abraham Rappaport, kupcy bydła i nierogacizny, dostarczali te zwierzęta do Wiednia i mieli w nim swoje biura, pracowały w nich czasem ich dzieci. Kupcy skupujący zwierzęta od chłopów po niskiej cenie, robili dobre interesy. Ale czasem te zwierzęta pędzono z Kolbuszowej na piechotę do pociągu towarowego w Sędziszowie, zachorowały w drodze i padały. Kupcy ponosili wtedy wielkie straty. Za mojego dzieciństwa mówiło się o jakimś wielkim "krachu" Ogonka i Winiarskiego. Dom Winiarskiego został wystawiony na licytację, urzędową sprzedaż. A ja pamiętam żywo obrazek, jak chłop, mieszkaniec wsi prowadził do Kolbuszowej, we wtorek, na jarmark, świnię, uwiązaną za tylną nogę. Szli sobie pomału, dostojnie. Bliższe stosunki z Wiedniem utrzymywali nasi panowie, wielcy właściciele ziemscy, mieszkający we dworach i przyjeżdżający powozami do Kolbuszowej. Panem Kolbuszowej był hrabia Tyszkiewicz mieszkający w Weryni, niedaleko miasta. Do tej wsi, w letnie niedziele i święta, chodziła masowo młodzież kolbuszowska na spacer. Ale to wszystko zauważyłem, gdy już podrosłem. Spostrzegłem wtedy

i nasze małe, drewniane domki, w których robiono dopiero jako rzecz postępową w kuchennych piecach żelazne płyty do gotowania. Wcześniej gotowano na dynarkach, na których stawiało się garnki. Ojcowie rodzin starali się o drzewo do palenia na zimę, no i na lato do gotowania. Drzewo to, często świeże, nie chciało się palić i dawało dużo dymu. Utrzymanie czystości, potrzebnej dla zdrowia człowieka, nie było wtedy łatwą sprawą. A każdy zamożniejszy dom, tak urzędniczy jak i mieszczański, musiał posiadać kawałek pola, z którego miało się swoje ziemniaki na cały rok i chowało się krowę, żeby mieć swoje mleko. Biedni ludzie chowali kozy. Krowy pasły przeważnie najmowane służące, pomagające gospodyniom, paniom domów. Dostarczały ich Żydówki-faktorki. Nieraz i domowe dzieci pomagały paść krowy, gdy służące robiły co innego. Do prania bielizny przychodziły, co jakiś czas, specjalne praczki. Były one też rodzajem poczty pantoflowej, przenoszącej z domu do domu masy plotek. Do niektórych domów przychodziły na dniówkę i krawczynie, by uszyć od razu wszystko, co trzeba było. W tamtych czasach w domach robiło się prawie wszystko, co było potrzebne rodzime, a niewiele się kupowało w sklepie. Gospodynie gotowały, piekły chleb i inne pieczywo, szyły, prały, robiły mydło i inne rzeczy. I wychowywały dzieci, których wtedy nie brakowało w każdym domu.

Przełomowym momentem w moim życiu było pójście do Szkoły Męskiej, stojącej naprzeciw kościoła. W budynku jej dzisiaj mieści się Przedszkole Numer 1. Rozpocząłem naukę mając sześć lat, w 1912r. Wychowawcą moim, pierwszym nauczycielem, był p. Wilczyński, zamiłowany w pracy społecznej, ale nie mający zbyt wiele dla nas cierpliwości. Uczyłem się pisać i czytać na tabliczce, zrobionej z ciemnej jakiejś masy, oprawionej w drewniane ramki. Pisało się rysikiem, cienkim jak patyczek, zrobionym także z masy podobnej do kamienia. Gdy pisaliśmy coś całą klasą, rozlegał się w niej jeden, niemiły zgrzyt. Dopiero w starszych klasach pisało się ołówkiem, piórem i atramentem, a na rysunkach malowano farbami. W klasie byliśmy my, chłopcy katoliccy i chłopcy żydowscy. Oni byli przeważnie bardziej niezgrabni niż my, bardziej spokojni, ostrożni, śmiesznie przekręcali polskie słowa, pachnieli cebulą i czosnkiem i nosili pejsy, skręcone kosmyki włosów przed uszami. Nas zawsze kusilo, żeby pociągnąć za nie. W starszym wieku śpiewało się żartobliwe i złośliwe piosenki o Żydach. Opowiadało się też o nich dowcipy. Z tych niezłośliwych był wierszyk: "Icek miał chętkę, kupił sobie wędkę, łowił ryby, raki i skorupy, woda sięgała mu do... kolan".

W sobotę było prawie święto w szkole, gdy Żydzi świętując nie przychodzili do niej. Bo przecież tworzyli połowę klasy i nauczyciele nie podawali wtedy nowego materiału. Dostyc długo zeszło, zanim poznałem, że dyrektorem szkoły jest pan Michał Mróz, a nauczycielami ks Józef Chrzaszcz, Stanisław Gruszka, Karol Kozioł, Stanisław Przybyło, Aleksander Wilczyński i Marian Antoni Winarski. Uczyła też trochę pani Mrozowa. Najlepszy ze wszystkich był dla nas ks. Chrzaszcz, ale mnie uczył on religii niedługo. Został przeniesiony. Gdy był, czasem przyniósł nam na lekcję jakieś cukierki czy pomarańcze. Obchodziło się w szkole "najwyższe urodziny", czyli urodziny cesarza i członków jego rodziny. Uczyło się długiej historii wspaniałego rodu cesarskiego i śpiewało hymn "Boże wspieraj Boże ochroń nam cesarza i nasz kraj". W drugiej zwrotce hymnu były słowa "Przy cesarzu mile włada cesarzowa pełna łask", a u nas ojciec wspominał, że na parę lat przed moim urodzeniem jakiś bandyta zabił tę piękną i dobrą cesarzową Elżbietę. Mówił, że w tym czasie odbywały się, czy raczej miały się odbywać, w okolicy Kolbuszowej wielkie manewry huzarów i innych żołnierzy,

że przyjechał na te manewry do Weryni, do hrabiego Janusza Tyszkiewicza, arcyksiążę Franciszek Ferdynand, następca tronu, że wiadomość o zamordowaniu cesarzowej, depeszę, podano mu, gdy był na nabożeństwie odprawianym w kaplicy stojącej przy wejściu do parku, otaczającego stary, weryński dwór. Obecny pałac wtedy tam jeszcze nie było. A arcyksiążę, odczytawszy depeszę, odwołał manewry i pojechał na pogrzeb. Dzisiaj kaplica w Weryni ulega zniszczeniu i nie ma jej kto utrzymać w porządku. A melodia hymnu austriackiego stanowi teraz melodią hymnu niemieckiego.

W szkole uczyliśmy się po polsku. Tylko w wyższych klasach był język niemiecki, którym mówili Austriacy, jako jeden z przedmiotów nauczania. Z naszej szkoły było bliźniutko do rynku, gdzie mieściły się żydowskie sklepy z różnymi towarami. Zamożniejsi uczniowie tracili w tych sklepach nieliczne, posiadane pieniądze, nazywane przez ludzi potocznie, według widzimisie, grajcarami.

Duży kolbuszowski rynek, otoczony z czterech stron żydowskimi domami, zaludniał się całkowicie we wtorki, podczas targu, gdy część jego zajmowały wozy z końmi, które przywoziły mieszkańców wsi i ich towary, przeznaczone na sprzedaż, zboże, drób, czasem utkane płótno. Jajka, masło i sery przynosiły kobiety w koszykach. Na zachodniej części rynku stawiano stragany, na których katolicy i Żydzi sprzedawali różnorodne towary, odzież, obuwie, pieczywo, wyroby z drewna, łyżki i miski, maślniczki, grabie, sita, przetaki, dziecinne zabawki, beczki, no i wyroby mięsne. Garncarze i sprzedawcy drewnianego towaru układali go wprost na ziemi. Od wiosny do zimy wtorkowy jarmark stanowił wielkie urozmaicenie życia kolbuszowian. Dzieci oglądały wszystko i gromadziły się koło katarzyniarza, wygrywającego melodię, często posiadającego papugę ciągnącą losy. Handel był odbywał się w innym miejscu, trochę dalej od rynku, za magistratem, starym budynkiem gminnym, niedaleko od rzeki Nil, na targowicy.

Czasem na rynku, w dzień targowy, zjawiały się inne atrakcje, a mianowicie kino objazdowe, panorama, a niekiedy i cyrk z menażerią. Kino i panoramę oglądało się, po zapłaceniu wstępu, w ustawionym namiocie. Kino wyświetlało, z wielkim traskiem, jakiś niemy film, panorama przedstawiała woskowe figury, figury osób świętych lub postaci historycznych, przy jakimś rzepoleniu instrumentów.

W menażerii oglądało się egzotyczne zwierzęta, małpkę, krokodyla, węża. Zwierzęta napawały nas strachem. Strach budzili w nas też Cyganie, przejeżdżający swoim taborem przez Kolbuszową i rozbijający obóz pod lasem. Długie ich wozy miały wysokie budy, zrobione z białego płótna na owalnie wygiętych prętach. Ludzie bali się Cyganów, brązowoskórych i czarnowłosych, mówiących niezrozumiałym językiem, uznawanych za czarowników, oszustów i złodziei.

Radosne zaś były nasze święta religijne, zwłaszcza Boże Narodzenie, rozpoczynające się od dnia Świętego Mikołaja. W szkołach nie było wtedy komitetów rodzicielskich, starających się o uprzyjemnienie uczniom nauki, nie było choinek i zabaw szkolnych. Ale istniały Towarzystwo Gimnastyczne "Sokół" i Chrześcijańskie Towarzystwo Mieszczańskie "Przyjaźń", które organizowały przedstawienia i przygotowywały dzieciom uroczystości Świętego Mikołaja, wspólnie z nauczycielami. Rodzice robili swoim dzieciom paczki z podarunkami i dostarczali organizatorom uroczystości, którzy przekazywali je św. Mikołajowi, ustrojonemu na biało i czerwono, a ten, po przedstawieniu rozdawał je dzieciom. Paczki zawierały przeważnie rzeczy praktyczne z odzieży, potrzebne w życiu codziennym i trochę słodczy. Zawsze sprawiały niespodziankę i radość. Święta wielka-

nocne przynosiły wiosnę. W Zielone Świątki mała się drzwi domów zielonymi gałęzmi olszyny, a na podłogę rzucono gałązki tataraku. W Boże Ciało i w Dni Krzyżowe odbywały się procesje eucharystyczne po ulicach miasta, od kapliczki do kapliczki. Te zaś znaczyły przede wszystkim granice miasta.

Gdy byłem w drugiej klasie, mieszkańcy Kolbuszowej i okolic przeżywali wspaniały pogrzeb. Byłem wtedy jeszcze mały, ale pogrzeb utkwiał mi w pamięci. Był on w jesieni 1913r. Chowano Janusza hr. Tyszkiewicza, dziedzica kolbuszowskiego, właściciela Kolbuszowej i okolicy. Był on pięknym i eleganckim mężczyzną, prawdziwym panem z panów. Wiadomo było, że w młodości mieszkając w Krakowie, pozował malarzowi Janowi Matejce do postaci ks. Alebrechta Hohenzollerna w obrazie "Hołd pruski".

Hrabia, włączający się w życie społeczno-kulturalne miasta zmarł nagle, we śnie. Żonaty z hrabianką Tarnowską miał czworo dzieci: dwie córki, dwóch synów. Córki były już zamężne i posiadały dzieci. Ciało hrabiego złożone do okazałej trumny, najpierw zostało wystawione we wspomnianej już kaplicy, stojącej w parku weryńskim. Kolbuszowianie chodzili je oglądać. Na drugi dzień wielki, czarny karawan sprowadzony z Krakowa, przewiózł trumnę do kościoła parafialnego w Kolbuszowej.

Kościół ten był wtedy mały i stary. Zbudowano go w XVIII wieku na miejscu innego, dawniejszego kościoła. Za karawanem z ciałem hrabiego szło dużo ludzi. Byli to księża i zakonnice z powiatu i z dalszych stron, zmarły był bowiem przez kilkanaście lat marszałkiem powiatu. Jechał też sznur karet i powozów, wiozących arystokratów i szlachciców, przyjaciół zmarłego, potem szli tłumnie mieszkańcy Weryni i okolicznych wsi. Kolbuszowianie czekali na kondukt, wylęgając na drogi i ulice. Główna nawa kościoła była udekorowana czarnym kirem i kwiatami. Świeciły się świece. Ks. proboszcz Markiewicz i inni księża odprawili nabożeństwo, po czym zebrani rozeszli się. Trumna pozostała na noc w kościele. Właściwy pogrzeb odbył się następnego dnia. O oznaczonej porze przybyli do kościoła: rodzina zmarłego, krewni, przyjaciele i znajomi, mieszczenie kolbuszowscy, bardzo szanujący swoich panów dziedziców, potomków odwiecznych właścicieli ziemi kolbuszowskiej, oraz ciekawi widzowie. Podczas uroczystości żałobnej książy odprawili mszę św. przy każdym ołtarzu kościelnym. Śpiewano pieśni, zebracy pod kościołem głośno modlili się za duszę zmarłego, bo spodziewali się dostać od jego potomków sowitą jałmużnę. W dniu pogrzebu nie było w szkołach nauki i uczniowie mieli uczestniczyć w pogrzebie. Ale nie brali oni w nim udziału parami, pod nadzorem swoich nauczycieli, jak chodzili do kościoła w niedzielę i święta. Co gorliwsi uczniowie przyszli na pogrzeb, ale w duchu cieszyli się z wolnego dnia. Po nabożeństwie znaczniejsi mieszczenie zanieśli trumnę do podziemi kaplicy - grobowca hr. Tyszkiewiczów na cmentarzu, kaplicy zbudowanej przez Zdzisława poprzednika Janusza.

Potem przyszedł rok 1914, jego Wielkanoc, następne święta, Zielone Świątki i Boże Ciało, zakończenie roku szkolnego. Przeszedłem do III klasy, a w połowie wakacji niespodziewanie rozpułała się wielka wojna, wojna światowa. Dorośli smucili się, bo mężczyźni pobierano do wojska. Ziemię naszą od razu załało wojsko austriackie, atakujące Rosję. Od razu brakowało żywności.

Starsi chłopcy mieli do oglądania mnóstwo ciekawych *rzeczy*. Biegali z ulicy na ulicę oglądać przechodzących żołnierzy. Nasi huzarzy też gdzieś odjechali. Ale wnet, w końcu sierpnia, Niemcy na północy, za Wisłą, i Austriacy poza Lwowem, zaczęli ponosić klęski i uciekać w popłochu na Zachód. Moskale (Rosjanie) postępowali za nimi. Nadchodzili i do Kolbuszowej. A tu właśnie werbo-

wano mężczyzn, ochotników do Legionów Polskich, mających walczyć o niepodległość Polski. Urzędników austriackich i zamożniejszych ludzi ogarnęła panika. Od dawna opowiadano bowiem, że Moskale są strasznie niedobrzy i wyrządzają ludziom różne krzywdy. Wyższe władze austriackie namawiały ludzi do uciekania przed nimi na południe, w Karpaty, albo poza nie, do Słowacji, Czech i Austrii. Nazywało się to ewakuacją.

Mojego ojca i siostry opanovała wielka panika. Rodzice postanowili uciekać przed Moskalami, bojąc się o młodziutkie córki. Nie myśleli, na jakie niebezpieczeństwo narażają Jasia, swoje najmłodsze dziecko. Mama i siostry spakowały trochę najniezbędniejszych rzeczy, ojciec postarał się o furmankę, babcia zaopiekowała się naszą krową - i wyruszyliśmy. Było nas dziesięcioro, rodzice, siedmioro dzieci i Józef Kotula, narzeczony najstarszej siostry Heleny, nie zabrany jeszcze do armii austriackiej.

Ucieczka na południe, w okresie I wojny światowej, dla starszych dzieci i młodzieży była bardzo ciekawą przygodą. Ja miałem osiem lat, byłem jeszcze mały i wolałbym nigdzie nie ruszać się z domu. Ale musiałem być tam, gdzie i rodzina. Furmanką dojechaliśmy do stacji kolejowej w Sędziszowie. Potem pociągiem, wśród niesamowitego natłoku na stacji i w wagonach, dojechaliśmy do Żywca w Beskidzie Śląskim. Ojciec myślał, że Rosjanie tam nie przyjdą. Wynajęli nam izbę w prywatnym domu i pojechał za jakimś interesem do Wiednia. Tymczasem w grudniu Rosjanie dotarli do Krakowa. Naszą matkę opanovał rozpaczliwy strach i postanowiła uciekać z nami do ojca, do Wiednia. Zabrawszy toboły z trudem wcisnęliśmy się do pociągu ewakuacyjnego sądząc, że podróż minie nam raz dwa. Tymczasem przebycie nie tak wielkiej przestrzeni trwało aż całe dwa tygodnie. Dwa tygodnie w grudniu, w zimnych wagonach, wśród obcych ludzi, w tłoku i ucisku.

Ale w monarchii austriackiej inteligentów obowiązywało, jak już raz wspomniano, życie w ukłonach i uśmiechach i w wielu wypadkach istniała bardzo dobra organizacja dla korzyści człowieka. W 1914r. był jeszcze w tej monarchii, zwłaszcza w jej centrum, dobrobyt. Gdy pociąg, którym jechaliśmy, zatrzymywał się na stacjach, zjawiały się siostry z Czerwonego Krzyża, czy z innych organizacji charytatywnych i za darmo dawały uciekinierom coś do zjedzenia. My, dzieci, dostawaliśmy nawet kakao i czekoladę. Brat Henryk zabierał mnie wtedy przed wagon i interesowaliśmy się wszystkim, co dało się zobaczyć. A droga do Wiednia była piękna, przez góry, porośnięte zieloną, soczystą trawą i lasami o takiej samej barwie.

Po kilku dniach podróży pociąg nasz zajechał do Triestu nad Adriatykiem w austriackiej Dalmacji. Tam władze nie miały dla nas pomieszczenia i odesłały nas do Leibnitz (czyta się Laibnic) w Dolnej Austrii, położonej wśród pięknych Alp. Do samego Wiednia bowiem nie wpuszczano większych grup uciekinierów. Nasza matka była w rozpacz. W Leibnitz dano nas do wielkich baraków, gdzie tłoczyło się mnóstwo ludzi, niestety, w zimnie i niehigienicznych warunkach. Tu zaczęły dręczyć nas choroby, zwłaszcza uporczywa grypa, nazywana hiszpanką i dyzenteria, choroba żołądka, nazywana czerwönką. Brakowało lekarstw i małe dzieci prawie że nie wytrzymały tych chorób. Tam nas też spotkało nieszczęście. Zachorował nasz mały Jasiu i pomimo wielkich starań matki i sióstr, zmarł. Matka rozpacziała i żalowała, że wyjechaliśmy z Kolbuszowej.

Pisała listy do ojca, donoszące, gdzie jesteśmy i jak żyjemy, domagając się, żeby nas zabrał do siebie. On zaraz przyjechał do nas i omówił z matką sprawę przewiezienia nas do Wiednia. Musiał dostać od władz pozwolenie na sprowa-

dzenie nas tam i wyszukać mieszkanie. W zdobyciu pozwolenia dopomógł ojcu p. Fibrych, który niegdyś mieszkał, w dzieciństwie, w Kolbuszowej i chodził z ojcem do jednej klasy szkolnej. Gdy dorósł, osiedlił się we Wiedniu i prowadził zakład hydrauliczny.

Nasz legalny wyjazd z Leibnitz wymagał badań lekarskich i dokonania wielu różnych formalności. Zajęłoby to nam dużo czasu. Żeby tego uniknąć, p. Fibrych doradzał matce potajemną ucieczkę z baraków. Więc jednego wieczoru zebraliśmy swoje *rzeczy*, opuściliśmy okresowe lokum i dotarliśmy na miejsce, gdzie oczekiwał nas p. Fibrych z dwoma dorożkami. Pojechaliśmy nimi na stację kolejową, skąd pociągiem udaliśmy się do Wiednia. Tam na dworcu czekał na nas ojciec i wziął nas do przygotowanego dla nas wcześniej mieszkania.

Mieszkanie nasze we Wiedniu znajdowało się przy ulicy Damstrasse 3, na przedmieściu pięknej stolicy imperium austriackiego. Dzielnice jej po niemiecku nazywały się Bezirk (czyt. Becirk). Po polsku znaczy to obwód. Nasza ulica znajdowała się w XX Becirku. Żyliśmy z poborów ojca i z zarobków siostr, które poszły do pracy, wspierani zasiłkiem ewakuacyjnym. Pracę siostrm wyszukał, oczywiście, p. Fibrych. Szesnastoletni brat Henryk też poszedł do pracy. My, najmłodszy: siostry Gienia, Kasia i ja zostaliśmy przyjęci do polskiej szkoły, zorganizowanej w naszym "Becirku" dla dzieci uchodźców, a noszącej nazwę "Kinderhort", ogródek czy schronisko dziecięce. Takie szkoły władze austriackie organizowały w każdej dzielnicy Wiednia, osobno dla każdej narodowości z monarchii, która tam się osiedliła. Opiekowała się nimi arcyksiężna Żyta, żona arcyksięcia Karola, następcy tronu. Opłata ze strony rodziców uczniów była tylko symboliczna.

Moje siostry i ja poszliśmy do Kinderhortu w styczniu 1915r. Zakład mieścił się w pięknym budynku z ogrodem, pewnie w jakimś dawnym pałacyku. Dyrektorką jego była Austriaczka, a nauczycielkami-wychowawczyniami Polki. Gdy nas tam przyjęto zostaliśmy wykapani, ostrzyżeni, zbadani przez lekarza i ubrani w strój szkolny, w mundurki ze złotymi guzikami i złotymi napisami na czapkach i ramionach. *Rzeczy*, w których przyszliśmy, zdezynfekowano i oddano nam w woreczkach.

Pobyty w szkole trwał od ósmej rano do godziny siedemnastej po południu. Chodziłem do III klasy i uczyłem się różnych przedmiotów, także języka niemieckiego. W tym samym budynku dostawaliśmy śniadania i obiady. Po obiedzie nauczycielki prowadziły nas na zabawy do pobliskich parków czy ogrodów, albo wiozły tramwajem do Prateru, wspaniałego, wesołego miasteczka, posiadającego masę huśtawek, karuzeli, beczek śmiechu, kolejek itp., dla dzieci i dorosłych. Miasteczko otwarte było przez całą dobę, ale dzieci bywały w nim w dzień. Panie nauczycielki brały nas też na zwiedzanie miasta, pokazywały nam kościoły, muzea, pałace cesarskie, rzekę Dunaj, po której pływały łódki i statki. Brzegi rzeki łączyły liczne mosty, a całe miasto było piękne z licznymi wspaniałymi gmachami, sklepami, wystawami, zielenią, kwiatami, fontannami i licznymi cudami.

W domu matka tęskniła za Kolbuszową i płakała za zmarłym bratem. Ojciec i starsze rodzeństwo pracowali, a ja, po przyjściu z Kinderhortu sam wyrывałem się na ulice, gdzie było mnóstwo *rzeczy* do oglądania. Ale przecież byłem jeszcze mały i łatwo mogłem się zgubić. Rodzice zabraniali mi oddalania się od domu, w którym mieszkaliśmy, ale ich nie słuchałem. Raz poważnie zabłądziłem. Poszedłem za daleko za przechodzącym oddziałem wojskowym, odprowadzanym na stację kolejową przez orkiestrę. A tu ściemniło się i ja nie wiedziałem, jak trafić

do mojego Becirku. Usiadłem na ławce i płakałem. Wnet jednak zajęła się mną jakaś Czeszka, i oddała policjantowi, regulującemu ruch. On zatrzymał odpowiedni tramwaj i polecił mnie opiece konduktora. Ten nie tylko że wysadził mnie na właściwym przystanku, ale i zaprowadził do domu, gdzie stroskani rodzice i rodzeństwo już mnie szukali. Miałem wtedy tylko dziewięć lat.

Mieszkaliśmy we Wiedniu aż do lata 1916 r. Wprawdzie Rosjanie zostali wyparci z Galicji już w połowie 1915r. i mama bardzo chciała jechać do Kolbuszowej, ale ojciec i siostry mieli dobre prace i odciągali wyjazd. Wojna wciąż trwała i zdawało się, że mogą się jeszcze wydarzyć różne rzeczy, chociaż wojska austriackie i niemieckie odnosiły sukcesy na frontach. Jednak wojna wyniszczyła Wiedeń i zapanował w nim głód. Matka uważała, że będzie nam lepiej w naszym kolbuszowskim domu.

I przyjechaliśmy do niego. Tym razem podróż nie trwała długo. Kolbuszowa była bardzo zniszczona i biedna, ale nasz dom, strzeżony przez babcię, był cały. Krowa i kawałek ziemi były dobrodziejstwem. Brat Henryk dostał powołanie do armii austriackiej. Ja poszedłem do szkoły. Teraz znajome mamy z Wiednia przyjeżdżały do nas, do Kolbuszowej, kupić żywności i zawieźć ją do siebie. Wyczekiwaliśmy końca wojny. Przyszedł on za dwa lata i przyniósł nam wolną Polskę, w której przeżywałem dalsze koleje mojego losu.

P. S.

Józef Augustynowicz, w listopadzie 1918r., w chwili zakończenia I wojny światowej i odrodzenia się niepodległej Polski, miał dwanaście lat. Już w Polsce zaczął chodzić do kolbuszowskiego Gimnazjum, ale oplata za naukę była duża, więc przerwał ją i poszedł do czteroletniej Szkoły Przemysłowo-Handlowej aż w Stargardzie na Pomorzu Gdańskim, gdzie zamieszkiwali jego krewni. Skończył tę szkołę, w l. 1927-28 odbył służbę, wojskową w 6 Pułku Lotniczym we Lwowie, odbywając szereg lotów ćwiczebnych. Później dostał, dzięki szwagrowi, Józefowi Kotuli, pracę w Sądzie Grodzkim w Katowicach. Tam ożenił się, w 1934r. z Marią Litwińską, nauczycielką. We wrześniu 1939r. został powołany do jednostki lotniczej w Krakowie, ale nie wziął udziału w lotach bojowych. Powrócił do Kolbuszowej, gdzie przybyła też i żona. Tu należał do AK z ps. "Pelikan", pracując w wywiadzie i jako organizator i dowódca młodzieżowego plutonu przysposobienia lotniczego. Zawodowo pracował: w Spółdzielni Rolniczej "Plug". Po przybyciu armii radzieckiej, w grudniu 1944r. został aresztowany i wywieziony, razem z innymi do obozu koncentracyjnego w Stalinogorsku, za Moskwę, gdzie pracował w kopalni węgla. Wrócił w następnym roku. Pracował jako instruktor w kolbuszowskim Domu Kultury, urządzonego w budynku dawnego Towarzystwa Gimnastycznego "Sokół". Obudziły się w nim talent i zamiłowanie do malarstwa. Malował obrazy i obrazki, głównie pejzaże z okolicy Kolbuszowej. Dom Kultury organizował wystawy jego prac. Posiadał jedną córkę, Katarzynę. Zmarł w lipcu 1993r. i spoczął na kolbuszowskim cmentarzu.

Powyższe wiadomości o Józefie Augustynowiczu zebrała Halina Dudzińska